

## **Bartosz Jastrzębski: Oczy Jego jako Płomień Ognia**

Zarówno starożytni Ojcowie, jak i średniowieczni mistrzowie czy kontrreformacyjni odnowiciele, mieli pewną i niezachwianą świadomość jedności Pisma. Jak powiadano: Nowy Testament ukryty jest w Starym, a Stary oświeśla Nowy. Oczywistym było dla nich, iż odrzucając Stary Zakon przestajemy rozumieć Nowy – albo pojmujemy go niewłaściwie – pisze Bartosz Jastrzębski.

Zapomnieliśmy o Starym Testamencie. Wyparliśmy go ze świadomości. Oddaliśmy żydom i garstce – może podziwu godnych, choć najlepiej z daleka, bo są nieco hermetyczni – biblistów. Oczywiście z paroma wyjątkami. Uznajemy, rzecz jasna, i nawet niekiedy czytamy początkowe rozdziały Księgi Rodzaju i Wyjścia, Deutero i Tritoizajasza, (czyli rozdziały 40-66), Księgę Psalmów – choć już tu zaczynają się problemy, bo nie bardzo wiemy co począć z tzw. psalmami złorzeczącymi – a poza tym „punktowo” Ezechiel, Jeremiasz czasem wpadnie w ucho coś z Księgi Mądrości albo Syracha. Reszta należy do żydów i naukowców. Proroków mniejszych mało kto potrafi dziś już choćby wymienić. My, chrześcijanie mamy bowiem Nowy Testament, mamy Syna, i o tyle słuchamy groźnego Ojca, o ile nie drażni naszych uszu i uczuć moralnych. Nie żeby oficjalnie odrzucać Stary Testament – wiemy doskonale, że to zwalczana przez Ojców, a potem Doktorów herezja marcjonizmu bądź walentynianizmu czy też kataryzmu. Po prostu dyskretnie Stare Przymierze w ogromnej wierze przemilczamy. A jeśli by ktoś naciskał jednak, byśmy wyjaśnili jak pojmujemy

przedziwną historię Starego Przymierza, to możliwe są dwie opcje: łagodniejsza, jeszcze jakoś katolicka i twardsza, de facto odrzucająca Stary Zakon. Opcja pierwsza występować może w dwu wariantach, które można też próbować jakoś łączyć. Pierwszy z nich, starszy i zacniejszy, praktykowany przez wielu Ojców, zakłada, że z pomocą musi nam przyjść odczytanie alegoryczne. Wzorcowa jest tu szkoła aleksandryjska z Klemensem i Orygenesem na czele. Zakłada ona, że jeśli w Biblii hebrajskiej coś rażąco odbiega od naszych przekonań, uczuć i intuicji moralnych, to należy owe fragmenty odczytywać alegorycznie, porzucając ich sens dosłowny. I tak, kiedy czytamy na przykład w Pierwszej Księdze Samuelowej (1Sm 15,2-3):

Tak mówi Pan Zastępów: Ukarzę Amaleka za to, co uczynił Izraelitom, jak stanął przeciw nim na drodze, gdy szli z Egiptu. Dlatego teraz idź, pobijesz Amaleka i obłożysz klątwą wszystko, co jest jego własnością; nie lituj się nad nim, lecz zabijaj tak mężczyzn, jak i kobiety, młodzież i dzieci, woły i owce, wielbłądy i osły

to należy to rozumieć w duchu alegorezy właśnie. Amalekici to grzechy. Nakaz wytępienia także dzieci i kobiet oznacza konieczność unicestwienia występków zarówno dużych (mężczyzn), jak i małych (kobiety i dzieci) oraz zwierzęcych namiętności (woły i owce, wielbłądy i osły). Wówczas ów urągający naszym uczuciom moralnym nakaz kaźni niewinnych, staje się nie tylko zrozumiały, ale wręcz nieodzowny. Podobną – w wielkim skrócie – hermeneutykę należy stosować w analogicznych przypadkach. Uchroni nas to przed bluźnierstwem, jakim byłoby przypisywanie Bogu czynów powszechnie uważanych za niegodziwe. W mniejszym lub większym stopniu metodę alegorycznego odczytywania Starego Testamentu stosowali niemal wszyscy Ojcowie i

późniejsi teologowie – bo w istocie w pewnej mierze jest ona potrzebna i nieunikniona, choćby po to, by uniknąć „płaskiej”, tylko dosłownej lektury Pisma. Różnili się jednak oni w tym, na ile alegoryczna interpretacja stanowi wzbogacenie, mistyczną nadbudowę tej literalnej, na ile zaś po prostu jej dyskretną eliminację.

Druga opcja, bardziej współczesna i – jak wspomniałem – niekiedy łączona z pierwszą, zakłada „zmiany” Bożej pedagogii. Należy to rozumieć w ten sposób: Bóg, choć oczywiście niezmienny, ujawnia się i jest postrzegany stosownie do stanu ludzkości – w myśl reguły, tak chętnie przywoływanej przez Akwinatę: każda rzecz postrzegana jest w postrzegającym na sposób postrzegającego. Czyli tak pojmowano Boga, jak było to możliwe w dziecięctwie ludzkości. Jeszcze dosadniej: ludzie dzicy, brutalni i nieokrzesani – a tacy byli u zarania, po Wygnaniu z Rajskich Dziejzin – postrzegali Boga w kategoriach bezwzględnej siły i mocy, a nawet okrucieństwa. A zatem tak Bóg do nich „przemawiał”, bowiem innego języka porywcze i dzikie plemię nomadów by po prostu nie zrozumiało. To tak jak z krnąbrnymi dziećmi: subtelne i zawile wywody zazwyczaj nie pomagają – trzeba nieraz krzyknąć, postawić w kącie, bo taki język dziecko pojmie – nie oznacza to wszakże, że myślenie rodziców sprowadza się tylko do tych kategorii. Ale metody wychowawcze trzeba dostosować do wieku i zdolności pojmowania wychowanka.

W miarę upływu czasu jednak, bardzo powoli, ciągnięta wręcz za swe ośle uszy i objana nieraz po twardym karku i swym zakutym łbie ludzkość, dzięki tym srogim zrazu metodom, dorosła do coraz to bardziej wyrafinowanych epifanii, dorosła do nauki o Bożej Miłości, o tym, że głębą gniewu Jahwe jest namiętna i wytrwała miłość do swego Ludu – a Ludem Jego stają się Ci, którzy miłość ową spoza zasłony

Boskiej furii i zazdrości zaczynają dostrzegać – bo przecie ani Abram Chaldeczyk, ani Hiob Edomita, ani Rut Moabitka nie byli z ciała Izraelitami. Ale pojmowali Boga i byli mu posłuszni i stali się Jego dziećmi. Najpierw Prawo, później Prorocy – a wśród nich najsubtelniejszy Izajasz, „piąty Ewangelista” – potem ostatni z nich Jan Chrzciciel, a w końcu pełnia objawienia Miłości w Chrystusie. Oto zatem Stary Testament jest, jaki jest, bo nie mógł być inny, bo stanowi jeno długie i miejscami mroczne preludium do światła Ewangelii. Chrystus przebłyskuje zeń tylko gdzieniegdzie, jako daleka jeszcze, wschodząca dopiero Gwiazda pośród Ciemności ponurych wieków Wypnania.

*Nie brak dziś chrześcijan,  
mieniących się nawet  
katolikami, którzy w duchu,  
albo i jawnie, o Biblii  
hebrajskiej negatywny mają  
pogląd*

Owa „mięka”  
interpretacja Starego  
Przymierza mieści  
się jakoś w obrębie  
katolicyzmu – ba! – z  
czasem zaczęła  
stanowić jego  
obowiązującą postać.  
Nie brak dziś jednak

chrześcijan, mieniących się nawet katolikami, którzy w duchu, albo i jawnie, o Biblii hebrajskiej negatywny mają pogląd. Można go ująć mniej więcej tak: Jahwe to po prostu plemienny bożek pustynnego, nękanego przez potężniejszych sąsiadów ludu, projekcja jego marzeń o sile, a zarazem lęków przed czającą się zewsząd zagładą. Nie mając znikąd pomocy obmyśla owo plemię koncepcję Wszechmocnego, aby wierząc weń nie popaść w obłęd trwogi i rozpacz. Z biegiem czasu dopiero zaczęło najwrażliwszym i największym jego umysłem ujawniać się prawdziwe Światło. Większość jednak go nie dostrzegła, trwając w swej nieposkromionej dzikości, co więcej, przypisując ją również –

dotatkowo wyolbrzymioną – swemu wyobrażeniu Bóstwa. Jahwe to Istota na poły jeszcze świadoma – czy wręcz nieświadoma siebie Moc, jak chce Jung w *Odpowiedzi Hiobowi*. Ten ostatni – jak stwierdza twórca psychologii głębi – władny jest okazać nad Nim moralna wyższość, tak jakby dopiero dramat Hioba kazał Ojcu zrodzić Syna, swą moralną samoświadomość. Dlatego prawdziwa religia i prawdziwa wiara zaczynają się dopiero wraz z Nowym Testamentem. Stary to niemal w całości na poły mityczne, na poły neurotyczne bajania bezdomnych, pustynnych wędrowców – ich Bóg to w znacznej mierze amoralna jeszcze Moc. A my jesteśmy chrześcijanami, nasz Bóg – to Miłość. Nie potrzebujemy i nie rozumiemy groźnych teofanii w wichrze, ogniu i burzy – wolimy zdecydowanie łagodny, pieśczośliwy zefirek. I Bóg nim istotnie jest. Ale nie tylko nim. Jest też Błyskawicą i Gromem.

Tymczasem owo kryptomarcjonistyczne przeciwstawienie (nie mówię teraz o jego antycznych korzeniach) jest bardzo późne. Jego początki datowałbym ostrożnie na przełom XVIII i XIX wieku i być może mają one związek z sentymentalnym, czułościowym, często egzaltowanym zwrotem preromantycznym i romantycznym. Wcześniej, zarówno starożytni Ojcowie, jak i średniowieczni mistrzowie czy kontrreformacyjni odnowiciele, mieli pewną i niezachwianą świadomość jedności Pisma. Jak powiadano: Nowy Testament ukryty jest w Starym, a Stary oświeśla Nowy. Oczywistym było dla nich, iż odrzucając Stary Zakon przestajemy rozumieć Nowy – albo pojmujemy go niewłaściwie, sentymentalnie właśnie, jako łzawą opowieść o niezrozumianym, łagodnym rabbi z niewielkiej miejsciny Nazaret, którego zmiążdżyło koło bezdusznej historii i własni rodacy, bo za dobry i zbyt miłosierny był jak na twarde wewnątrzświatowe realia. Albo z kolei pojmujemy Go doketystycznie: jako jakieś cudowne,

pozornie tylko cielesne widmo z innego świata, co było czas jakiś pośród nas, ale rozplynęło się szybko w mgławicach gwiazd i codziennej krzątaninie.

Są to ujęcia z gruntu błędne, niszczące – powoli acz nieuchronnie – prawdę Objawienia. Mówi bowiem sam Zbawiciel (Mt 5,17-19):

«Nie sądźcie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić. Zaprawdę bowiem powiadam wam: Dopóki niebo i ziemia nie przeminają, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Prawie, aż się wszystko spełni. Ktokolwiek więc zniósłby jedno z tych przykazań, choćby najmniejszych, i uczyłby tak ludzi, ten będzie najmniejszy w królestwie niebieskim. A kto je wypełnia i uczy wypełniać, ten będzie wielki w królestwie niebieskim.»

Podkreśla to również już po Zmartwychwstaniu, „gdy dopełniło się wszystko”, pouczając rozpaczonych uczniów (Łk 24,25-27):

«O nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?» I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego.

Warto również pamiętać o jednej z nielicznych scen zachowanych w Ewangeliach z dzieciństwa Jezusa, gdy ten – zaledwie dwunastoletni – zagubiwszy się Rodzicom, został przez nich odnaleziony w świątyni (Łk

2,46-49):

Dopiero po trzech dniach odnaleźli Go w świątyni, gdzie siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania. Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami. Na ten widok zdziwili się bardzo, a Jego Matka rzekła do Niego: Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie. Lecz On im odpowiedział: Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?

Sam zatem Pan podkreśla, fakt, iż Prawo i Prorocy mówią o Nim i Jego zapowiadają. Świątynia zaś jest Jego domem, bo należy do Jego Ojca. Nic z tego, co znalazło się w Piśmie nie przeminie aż do końca świata ani jedna jota, ani jedna kreska. Nie ma i nie może tu być żadnych wątpliwości: Zbawiciel w żadnym miejscu nie podważa prawomocności Biblii Hebrajczyków. On ją po prostu właściwie rozumie i wypełnia. Bo On sam ją napisał.

Klamrami w szczególny sposób spinającymi Stary i Nowy Testament stały się dwie księgi, mianowicie Księga Psalmów i Objawienie św. Jana. Księga Psalmów to nie tylko bowiem – jak niektórzy łaskawie przyznają – „piękny przykład starotestamentalnej poezji”. To księga, w której – z jednej strony – wielokrotnie przywoływana jest, przypominana i komentowana, cała historia ludu Bożego. Z drugiej zaś, nabrzmiewa w niej, rozsadza ją wręcz obecność oczekiwanego Mesjasza, Jego „już za chwilę” – a nawet – „już teraz”. A przecież to właśnie Psalterz stał się podstawą modlitwy chrześcijańskiej, zrazu

intuicyjnie, w sposób nieuporządkowany, później zaś w ramach układu Liturgii Godzin w tradycjach monastycznych. Mnisi na przestrzeni wieków odśpiewywali wszystkie sto pięćdziesiąt psalmów w ciągu tygodnia, czyli powtarzali go pięćdziesiąt dwa razy w roku. Jego pamięciowe opanowanie uważano za coś oczywistego i dostępnego dla każdego, nawet mniej uczonego czy zdolnego zakonnika. Psalmami modlono się, mówiono, kształtowały one język teologii monastycznej, formowały pobożność i rozumienie wiary. A przecież znajdujemy wśród nich tzw psalmy złorzeczące, w szczególności 58, 83 i 109, usunięte zresztą z brewiarza decyzją Pawła VI – wbrew woli większości biskupów i opinii komisji – jako „zbyt trudne” dla odmawiających Liturgię Godzin, nieprzygotowanych teologicznie świeckich. W każdym razie czytamy w nich między innymi takie oto słowa (Ps 58,11):

Sprawiedliwy się cieszy, kiedy widzi karę,  
myje swoje nogi we krwi niegodziwca

Albo (Ps 109,9-15)

Niechaj jego synowie będą sierotami,  
a jego żona niech zostanie wdową!  
Niech jego dzieci wciąż się tułają i żebrzą,  
i niech zostaną wygnane z rumowisk!  
Niechaj lichwiarz czyha na całą jego posiadłość,  
a obcy niech rozdrapią owoc jego pracy!  
Niech nikt nie okaże mu życzliwości,  
niech nikt się nie zlituje nad jego dziećmi!  
Niech jego potomstwo ulegnie zatracie;  
niech w drugim pokoleniu zaginie ich imię!

Niech Pan zapamięta winę jego ojców,  
niech grzech jego matki nie będzie zgładzony!  
Niech zawsze stoją przed Panem  
i niech On wykorzeni z ziemi pamięć o nim

Jak wyjaśniałby te – i wiele innych, podobnych – wersy Chrystus, który jest wszak Miłością a który pisma odnosił do siebie? Nie wiem. Po prostu nie wiem. Nie będę uprawiał alegorycznej gimnastyki ani biblistycznego historyzmu – nie czuję się na siłach ani na jedno, ani na drugie. Nie potrzebuję i nie mogę też wiedzieć wszystkiego. Wiem jednak, że i w Ewangeliach Zbawiciela ogarniał gniew na przykład wtedy, gdy wypędzał kupców ze świątyni (Mt 21,12-13; Łk 19,45) lub wówczas, kiedy zganił św. Piotra (Mk 8,33; Mt 16,23). Przejmująca w swym oszczędnym wyrazie, a równocześnie napełniająca bojaźnią i drżeniem, jest również scena z nieurodzajnym drzewem figowym. Przypomnijmy (Mk 11,12-14; także Mt 21,18-22):

Nazajutrz, gdy wyszli oni z Betanii, uczuł głód. A widząc z daleka drzewo figowe, okryte liśćmi, podszedł ku niemu zobaczyć, czy nie znajdzie czegoś na nim. Lecz przyszedłszy bliżej, nie znalazł nic prócz liści, gdyż nie był to czas na figi. Wtedy rzekł do drzewa: «Niech nikt nigdy nie je owocu z ciebie!» Słyszeli to Jego uczniowie.

Jezus – złakniony – szukał owocu. Nie znalazł go, bo to też i nie był czas zbioru. Mimo to je przeklął i „uschło od korzeni” (Mk 11,20). Przeklął je, skazał na śmierć, pozbawił życia, bo było bezowocne, wtedy gdy owoc był potrzebny Panu. „Bog ducha winna” roślina – w porządku natury, przez samego Boga przecież ustanowionym – nie mogła

nakarmić Zbawiciela. A mimo to ją unicestwił. W przypisie znajdującym się w Biblii Tysiąclecia czytamy, że figowiec jest tu symbolem duchowo bezpłodnego Izraela. A zatem, skoro dziś chrześcijanie są prawdziwym Izraelem (por. Rz 2,28-29), to dotyczy również nas, a oznacza, że i my możemy zostać przekłęci przez Chrystusa, który jest Miłością, jeśli nie wydamy owocu, nawet wtedy, gdy po ludzku tylko patrząc, nie jest to możliwe. Nauka płynąca z tego obrazu jest prosta, a zarazem wstrząsająca: jeśli On zechce – umrzemy. Tak jak umarli Ananiasz i Safira, którzy, miast oddać wszystko Bogu, chcieli zachować coś „dla siebie”. I rzekł Safirze Apostoł Piotr: „Czemuż to nawet umówiliście się między sobą, aby prowokować do gniewu Ducha Pańskiego? Oto stoją jeszcze u progu ci, co pochowali twego męża. Zaraz wyniosą i ciebie. A ona upadła natychmiast u jego stóp i skoła. [...]. Przerażenie wielkie ogarnęło wtedy cały Kościół i wszystkich, którzy o tym słyszeli” (Dz 5, 9-11). Z drugiej jednak strony Bóg-Chrystus – tak jak Jego Ojciec i Jego Duch – nie chce unicestwiać, nie chce utracić nikogo i niczego z tego, co istnieje. Jest taki piękny fragment psalmu 84 (Ps 84, 2-4):

Jak miłe są przybytki Twoje,  
Panie Zastępów!  
Dusza moja pragnie i tęskni  
do przedsieni Pańskich.  
Moje serce i ciało radośnie wołają  
do Boga żywego.  
Nawet wróbel dom sobie znajduje  
i jaskółka gniazdo.  
gdzie złoży swe pisklęta:  
przy Twoich ołtarzach, Panie Zastępów,  
mój Królu i mój Boże!

Bóg kocha całe swoje Stworzenie, w jego Świątyni, tak jak w Arce, znajdzie się miejsce dla małych wróbli i jaskółek, ślimaków i pszczoł, i lilii polnych. I także dla dostojnego jelenia, groźnej lwicy i potężnego hipopotama. Stworzył bowiem wszystko, by było (Mdr 11,24-26):

Miłujesz bowiem wszystkie stworzenia,  
niczym się nie brzydzisz, co uczyniłeś,  
bo gdybyś miał coś w nienawiści, nie byłbyś tego uczynił.  
Jakżeby coś trwać mogło, gdybyś Ty tego nie chciał?  
Jak by się zachowało, czego byś nie wezwał?  
Oszczędzasz wszystko, bo to wszystko Twoje, Panie, miłośniku  
życia!

A jednak Chrystus – miłośnik życia – przeklął figowiec. Kochał i przeklął. Jak to? Nie mógłże po prostu sprawić, by pojawiły się owoce, tak jak na pustkowiu pojawiły się chleby i ryby w pustych sieciach? Mógł – ale nie sprawił. Dlaczego? Nie wiem. Na myśl – jako odpowiedź – przychodzą mi tylko przejmujące frazy Tadeusza Żychiewicza z jego szkicu o Hiobie: „Hiobie, zaufaj. Rzeczywistość jest o wiele bardziej zdumiewająca, niż kiedykolwiek mógłby przypuszczać człowiek. Stawiam ci przed oczy rzeczywistość ziemi, patrz uważnie, zobacz bodaj to tylko, co człowiek może zobaczyć. Oto misterny owadzik o złotych oczach z iskierkami rubinu okryty płaszczkiem szklisto seledynowych skrzydeł tak długo bytował w mule bajora, bardzo brzydki, zupełnie niepodobny do siebie samego i nic zupełnie nie wiedzący o tym, że ponad taflą wody jest całkiem inny świat. Patrz pilnie, Hiobie: oto wielka wspaniałość kwiatu wyrasta z rozkładu i to,

co było ostatnie i odrażające, staje się koroną. Czemuż twój ból trędowaty nie miałby się stać płaszczem dostojeństwa, pokojem i radością? [...] Hiobie, Hiobie, opowiadam ci wciąż od nowa zdumiewającą rzeczywistość świata, abyś w nią uwierzył; w to właśnie, że jest tak bardzo zdumiewająca. Prowadzę twoją rękę jak rękę ślepa po znakach i kształtach, których oczy nie mogą zobaczyć. Lecz powtarzam, ty zaś zechciej zrozumieć: Stwórca i stworzenie w zupełnie inny i nieporównywalny sposób uczestniczą w rzeczywistości wszechrzeczy; przeto nie możesz pojąć bardzo wielu spraw, nawet miejsca i sensu swojego cierpienia. Cóż więc ci pozostało? Hiobie, spróbuj zawierzyć Temu, który życie wyprowadził z nieistnienia". Zaufać lub nie – ten wybór w naszej mocy. Wybór największy, fundamentalny. Zaufasz – zobaczysz świat inaczej, nic już nie będzie takie, jak wcześniej, ujrzysz go bowiem, po części przynajmniej Bożymi oczyma. Może tak jak ukazał się w intelektualnej wizji Grzegorzowi z Nyssy w : „Wzajemna zgodność wszystkiego, współwibracja, zarządzana przez porządek, ład i następstwo, to właśnie owa pierwsza, pierwotna i prawdziwa muzyka, której Rządca wszystkiego podaje ton niewypowiedzianym słowem mądrości. Jeśli powszechny ład jest jakąś muzyczną harmonią, której [...] architektem i budowniczym jest Bóg, człowiek zaś jest mikrokosmosem, stworzonym na podobieństwo Tego, który skomponował kosmos, to wszelkie pojęcia odnoszące się do makrokosmosu wedle wszelkiego prawdopodobieństwa należy odnieść także do mikrokosmosu, bo część całości jest tego samego rodzaju, co całość. Jak w odłamku lustra na tyle można zobaczyć odbitą całą tarczę słońca, na ile pozwalają rozmiary odłamka, tak samo w mikrokosmosie, czyli w ludzkiej naturze, widać całą obecną we wszystkim muzykę, odpowiadającą całości na tyle, na ile część zawiera całość”. A jaka jest ta całość? Oddajmy głos raz jeszcze Mistrzowi z Nyssy, bo we wspaniałych wyraża to słowach: „Ład we wszechświecie jest jakąś muzyczną harmonią, różnorodnie uporządkowaną zgodnie z pewnym porządkiem i rytmem, tworzącą idealną symfonię, chociaż elementy

tego ładu znacznie różnią się między sobą. Jak plektron umiejętnie dotyka strun i prowadzi melodię pośród różnych dźwięków, bo gdyby we wszystkich strunach był tylko jeden prosty dźwięk, nie byłoby melodii, tak samo mieszanina różnorodnych elementów kosmosu, sama drgając dzięki stałemu i nieustannemu rytmowi i tworząc z części harmonię całości, wydobywa ze wszystkiego melodię, a jej słuchaczem jest umysł (nous), który nie korzystając zupełnie ze zmysłowego słuchu, lecz wznosząc się nad zmysły ciała, wsłuchuje się w pieśń niebios. Wydaje mi się, że melodię tę usłyszał wielki Dawid, gdy dosłyszał, jak zręczny i mądry ruch niebios głosi chwałę Boga, który to wszystko w nich sprawia”.

Oto więc świat Hioba i świat czytającego psalmy Nysseńczyka. Ten sam świat widziany różnymi oczyma. Ten sam świat, ale w dwóch odłamkach pokruszonego lustra. Grzegorz „ujrzał” i „usłyszał” umysłem kosmos jako najcudowniejszą Pieśń Istnienia, przedwieczną harmonię wszystkich bytowych sfer. Dla Hioba zaś świat to garnce potrzaskane, popiół i ból, trąd, zatrata i rozpacz. Z tego, co wiemy, Bóg nie poddał Grzegorza takiej próbie, jak Hioba Edumejczyka. Nie takie było bowiem Jego upodobanie. Ale niewątpliwie Kapadocczyk zaufał – i ujrzał uniwersum skąpane w Wiecznym Świetle, które „oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi” (J 1,1-9).

Drugą klamrą spinającą szczególnie mocno Stare Przymierze z Nowym jest Apokalipsa, kipiąca aż archetypowymi obrazami i oczywiście – cytatami ze Starego Przymierza. W niej to Pan powiada (Ap 3,19-20):

Ja wszystkich, których kocham, karzę i ćwiczę.  
Bądź więc gorliwy i nawróć się!  
Oto stoję u drzwi i kołaczę:  
jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy,  
wejdę do niego i będę z nim wieczerzał,  
a on ze Mną.

Może więc – obrazowo rzecz ujmując – to dlatego Ojciec objawić się nieraz musi w wichrze, ogniu i zarazie, wysłać na świat Anioła Śmierci, by przeszedł w grozie pomiędzy ludzkimi domostwami, żeby ludzie o twardych karkach i kamiennych sercach zatęsknili w końcu za Synem, Dobrym Pasterzem, i zbiegli się doń niczym owce wśród nocnego wycia wilków? Karzące ramię Pana zaganiałoby tedy zbłąkaną ludzkość wprost w ramiona, Tego, który jest Bramą owiec, ich Drogą i ich Życiem? Krzysztof Dorosz, w toku naszej korespondencji, słusznie wskazuje tu na stary kabalistyczny trop: „W kabale, w jej głównym obrazie/symbolu, czyli Drzewie Życia są dwie kolumny, na których widać emanacje Boga. Blisko góry są po jednej stronie hesed, czyli miłosierdzie, po drugiej gevurah, czyli surowość, srogość, sąd. By świat istniał musi być między nimi równowaga. Pewien rabin tak to obrazowo wyjaśniał. Gdyby działał tylko hesed, to poprosiwszy w cukierni o porcję kremu na talerzyk, dostalibyśmy nie porcję, lecz nieskończony strumień. Tak więc, by zapobiec wypełnieniu całego świata kremem, potrzebna jest gevurah, która hamuje nieskończony wypływ strumienia i nie dopuszcza, byśmy w nim utonęli”. Innymi słowy, gdyby w Bogu istniała tylko miłość wszystko zlałoby się w Jedno – tego zresztą w pewnym sensie oczekujemy u końca dziejów, aby Bóg „był wszystkim we wszystkich”. Póki jednak świat ma trwać „rozlewne” Dobro i Miłość, by

nie pochłonać wszystkiego od razu, muszą być ograniczane przez surowość, a czasem i gniew. To boli, czasem boli bardzo – ale inaczej być nie może.

Chrystus jest w całym Piśmie, od jego pierwszej do ostatniej litery. I Chrystus jest Miłością. Ale zauważmy, kto idzie za Nim i kogo On najbardziej miłuje: skruszonych grzeszników, ludzi zagubionych i robiących nieraz głupie lub złe rzeczy, ale mających wciąż czyste serca, „serca z ciała, nie z kamienia”, jak powiadali Prorocy. Dla innych jest groźny. Zapowiedział to w scenie przepędzenia wszystkich duchowych handlarzy i przekupniów z Jego Świątyni, z Jego Miejsca. Zupełnie jasno objawił to w Apokalipsie. Dla samolubnych, hardych, chciwych i złych jest strasznym przeznaczeniem. Zobaczmy, jakim jest Chrystus-Słowo, w Objawieniu św. Jana (Ap 19,11-16, według Jakuba Wujka):

I widziałem niebo otworzone,  
a oto koń biały,  
a tego, który siedział na nim,  
zwano Wiernym i Prawdziwym,  
a sędzi w sprawiedliwości i walczy.  
A oczy Jego były jako płomień ognia,  
a na głowie Jego wiele koron  
i miał imię napisane,  
którego nikt nie zna, tylko On sam.  
A przyodziany był szatą omoczoną we krwi,  
a imię Jego zowią Słowo Boże.  
A wojska, które są na niebie,  
szły za Nim na koniach białych,  
obleczone lnem cienkim, białym i czystym.  
A z ust Jego wychodził miecz ostry,

aby nim bił narody;  
Albowiem On je rządzić będzie laską żelazną,  
a On tłoczy prasę wina zapalczywości  
i gniewu Boga Wszchemogącego.  
A ma na szacie i na biodrach swoich  
imię napisane:  
Król królów.

Takim będzie Chrystus na Końcu dla wszelkich zatwardziałych arcyniegodziwców. Za pierwszym razem przyszedł on jako ubogi, bezdomny Człowiek- Nauczyciel („Lisy mają nory i ptaki powietrzne – gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć»” Mt 8,20), wybawienie skruszonych grzeszników, skrzywdzonych, słabych, chorych na ciele i duszy, biednych, samotnych, smutnych, zgniecionych przez ciężar życia i złość albo obojętność innych ludzi. Opluty, wzgardzony, ubiczowany. Zdradzony, wydany brutalnym łotrom i niczemnikom. Za drugim jednak razem przyjdzie jako Król-Rycerz, „co sprawiedliwie sądzi i walczy”, którego mieczem jest Krzyż, czyli prawda. Przybywa na koniu z Koroną i Mieczem Obosiecznym – Król w majestacie i sile powraca na swoją stolicę. Oto Chrystus, który zrzucił żebracze łachmany. Wierny i Prawdziwy. I tak jak miłość Jahwe była swoistą zapowiedzią miłości Chrystusa do człowieka, tak burzliwe epifanie tego pierwszego byłby dopiero zapowiedzią, czym u końca Czasu będzie ów Król-Rycerz dla demonów i wszystkich zaprzędanych im za garść srebrników ludzi.

*Bartosz Jastrzębski*  
*5 kwietnia 2020, Rok Zarazy*  
*Pustelnia Jagodzin*